

CZY WARTO?



NOWA dramaturgia angielska, która dość często trafia na nasze sceny, dostarcza nam nowy interesujący tekst. Sztuka Roberta Bolt'a „Oświeceni gwałtownicy” („A Man for all Seasons”) reprezentuje ten nurt angielskiego współczesnego dramatu, który, aby przedstawić zawsze ten sam temat: konflikt jednostki z otoczeniem, sięga do historii. Z tego samego nurtu znamy już sztuki Whitinga i Freya. Bolt napisał dramat o Tomaszu Morusie, kanclerzu króla Henryka VIII, autorze „Utopii”, jednym z najwybitniejszych filozofów i myślicieli XVI wieku, przyjacielu Erazma z Rotterdamu, szlachetnym i prawym człowiekiem, który za wierność wobec własnych przekonań został stracony w 1535 roku, pod zarzutem zdrady stanu.

Dramat Bolt'a stawia pytanie: Czy warto być wiernym sobie? — i odpowiada: Tak. Mimo historycznego kostiumu, mimo historycznej augeoty, jest to pytanie skierowane do nas, współczesnych. Postać Tomasza More'a, bez żadnych zresztą nadzwyczajnych zabiegów autorskich, jest tak współczesna, tak dzisiejsza, że mimo szesnastowiecznych strojów na scenie nie czujemy żadnego dystansu do bohaterów sztuki. Teatr Narodowy, który wystawił tę sztukę, przeprowadza w naszej obecności współczesną dyskusję o moralności i polityce. Nikt wobec tej rozmowy nie może pozostać obojętny — chociaż przedstawienie wcale nie jest rozgorączkowane, szarpące, choć nie padają tam mocne słowa, nie dochodzi do prowokacji. Ton inscenizacji jest raczej chłodny, pełen dystansu, łagodności wyrozumiałości. Zawazyła na tym zapewne doskonała kreacja Władysława Krasnowieckiego w roli Morusa. Wprawdzie spektakl przez ten spokojny ton traci czasem na tempie, ale za to wybijają myśl naczelną: nieubłagana konieczność tragicznego rozwiązania konfliktu jednostki ze światem. Śmierć Tomasza More'a pod katowskim toporem jest nieodzowna, musi nastąpić, by przynieść potwierdzenie wartości życia ludzkiego, wartości obrony ludzkiego „ja”, ludzkiej wewnętrznej wolności. Nie jest to śmierć tragiczna, jeśli zapomnieć o cierpieniu fizycznym. Jest to śmierć zwycięska, jaką zna historia religii chrześcijańskiej, historia męczenników wiary.

Tomasz More w czterysta lat po śmierci został świętym kościoła katolickiego. Ale świecka wartość jego biografii, jego myśli i czynów przewyższa jego zasługi dla papieża. W Anglii uznano go za zdrajcę króla i ojczyzny — w konflikcie Henryka VIII z kościołem More stanął przeciw królowi. Nie przysięgł na akt supremacji króla nad kościołem. Złożył urząd kanclerza. Nie poparł dążeń dynastycznych króla, sprzeciwił się kolejnemu rozwodowi i nowemu małżeństwu Henryka — nie słowem, ale milczeniem. To

wystarczyło, by tego prawego, uczciwego i najmądrzejszego obywatela ówczesnej Anglii zaprowadzić na szafot. Tomasz More nie chciał być sprzymierzeńcem króla — został jego przeciwnikiem. Jego historia wykazuje, że nie można stać ponad walczącymi stronami ani nawet z boku. Jest się zawsze po jednej czy po drugiej stronie, nawet wbrew własnej woli — bo tak chcą ci, którzy ze sobą walczą. Kto nie jest z nami, ten jest przeciwko nam! To hasło znają wszystkie epoki. Jakich trzeba doświadczeń, by zmienić te słowa na humanistyczne: kto nie jest przeciw nam, ten jest z nami...

Tomasz More sam zaprowadził siebie na szafot. Jego historia, to klasyczny przykład drogi intelektualisty z instynktem społecznym. Nie zadowolając się filozofią, ruszył do działania. Został kanclerzem króla — rzucił uczciwie i sprawiedliwie. Kiedy stwierdził, że pełniona funkcja zmusza go do działania wbrew własnemu sumieniu, ustąpił ze stanowiska. Ale już było za późno. Sumienie polityka nie jest tylko jego własnością. Musi uczestniczyć w grze do końca. Nie zazna spokoju. Jeśli zechce pozostać wolne, musi się liczyć z najgorszymi konsekwencjami.

Morale, jakie wyciągamy z historii Tomasza More'a, obowiązują nie tylko mężów stanu. W naszych czasach w orbite spraw polityki wchodzi całe społeczeństwo, a stosunki między racją stanu, indywidualną wolnością sumienia nie są jeszcze całkiem pokojowe. Czy warto być wiernym sobie, swemu sumieniu, swoim poglądom, swojej prawdzie? — dziś to pytanie pada nie tylko w pałacach rządowych, ale i na ulicy. Sztuka Bolt'a podsuwa moralność dla tych, którzy jak Cromwell, książę Norfolk i arcybiskup Cranmer skazali Morusa na śmierć, kierując się racją stanu. Wszyscy trzej zostali później straceni w różnych okolicznościach, ale pod tym samym zarzutem zdrady...

Racjonalna, spokojna inscenizacja Wandy Laskowskiej sprzyja rozumowemu tokowi sztuki Bolt'a. Poza Władysławem Krasnowieckim, który odniósł w roli Tomasza Morusa wielki sukces, trzeba wymienić z aktorów Jana Kobuszewskiego w wielopostaciowej roli Zwykłego Człowieka, przedstawiciela nie zaangażowanej masy ludzkiej, która, dysponując największą siłą, najmniej czyni dobrego — a także Włodzisława Głińskiego w roli podlego karierowicza Ryszarda Richa, jedyne z obecnych na scenie mężów stanu, któremu nic złego nie zagrozi. Obaj grali swoje role bardzo dobrze. Mieczysław Milecki, który przedstawiał Tomasza Cromwella, nie wykoryzował wszystkich możliwości tej bogatej postaci. Sprawna scenografia Andrzeja Sadowskiego dobrze służyła przedstawieniu, oprócz jednego niezbyt udanego kostiumu ambasadora Hiszpanii.